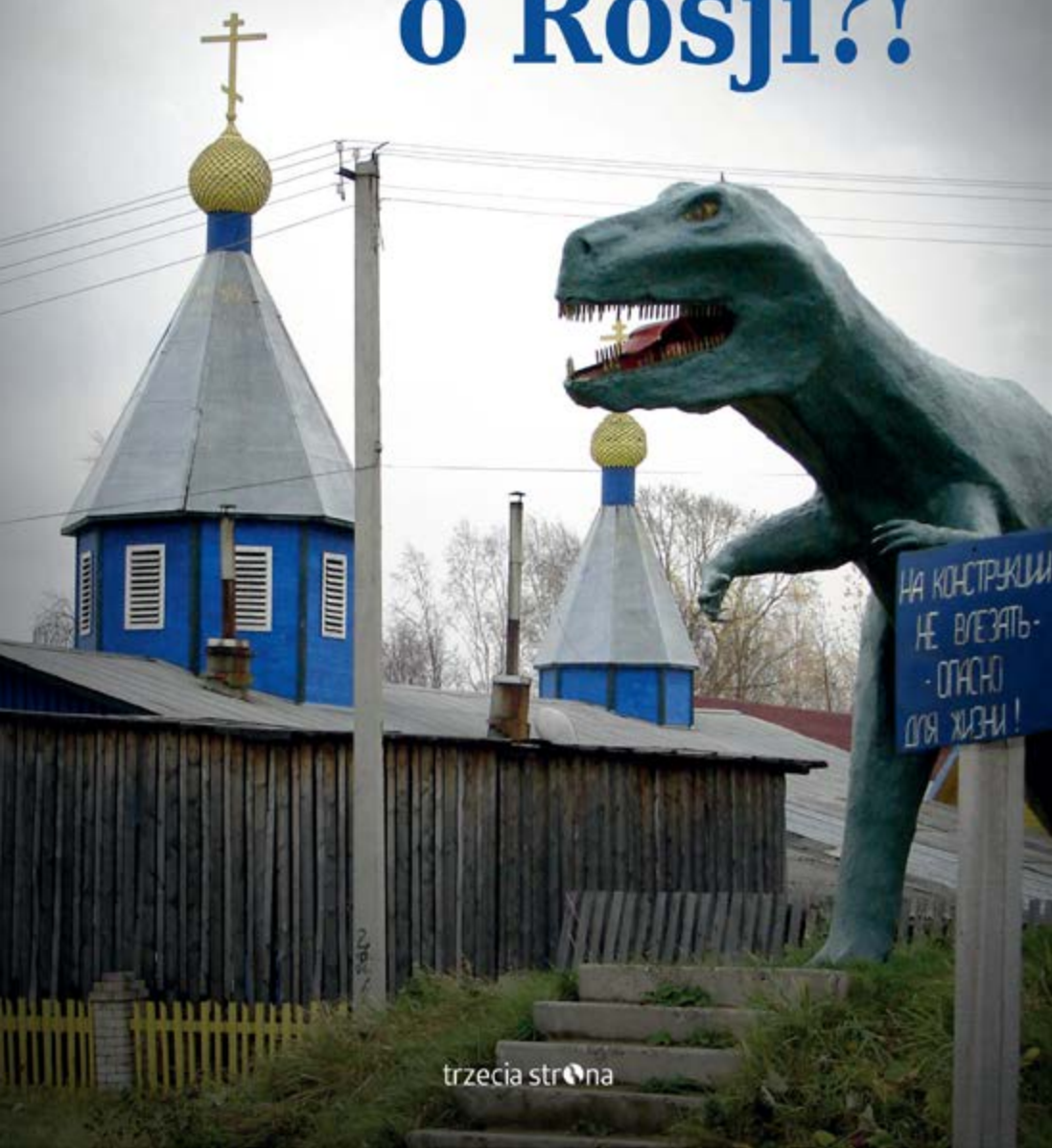


Jacek Matecki

Co wy, _____, wiecie o Rosji?!





Jacek Matecki, pisarz.

W szkole podstawowej zamarzyły mi się tajga i tundra. Cierpliwie czekałem trzydzieści lat, aż okoliczności pozwoliły na realizację marzeń. Gdy nadszedł czas, poszedłem do konsulatu po wizę, pojechałem do Terespolu, przekroczyłem granicę, wsiałem w pociąg do Moskwy, złapałem pociąg o 18:09 do Archangielska. Ot tak, po prostu.

Wyjazd trwał – z przerwami – pięć lat. Zostałem członkiem archangielskiej Polonii. Szukaliśmy polskich śladów, stawialiśmy pomniki, wertowaliśmy archiwa. Rzuciła mną od Kamczatki po Kaliningrad i od koła podbiegunowego po pustynie Azji Środkowej. Zrobiliśmy chyba za dużo, bo komuś się to nie spodobało. Ale to jest całkiem inna historia i nie o niej będę tu opowiadał. Ta opowieść jest o Rosji w czasie wolnym od innych zajęć.

Co wy, ..., wiecie o Rosji?!

Już dawno stwierdzono, że podróżnicy wracających z odległych zakątków świata zapadają na dziwną i nieco irytującą przypadłość. Okazuje się bowiem, że pamiętają więcej, niż widzieli, zaś widzieli więcej, niż pamiętają. Stan ten w żaden sposób nie poddaje się leczeniu. Co gorsza, im więcej mija czasu od powrotu z podróży, tym objawy bardziej się nasilają.

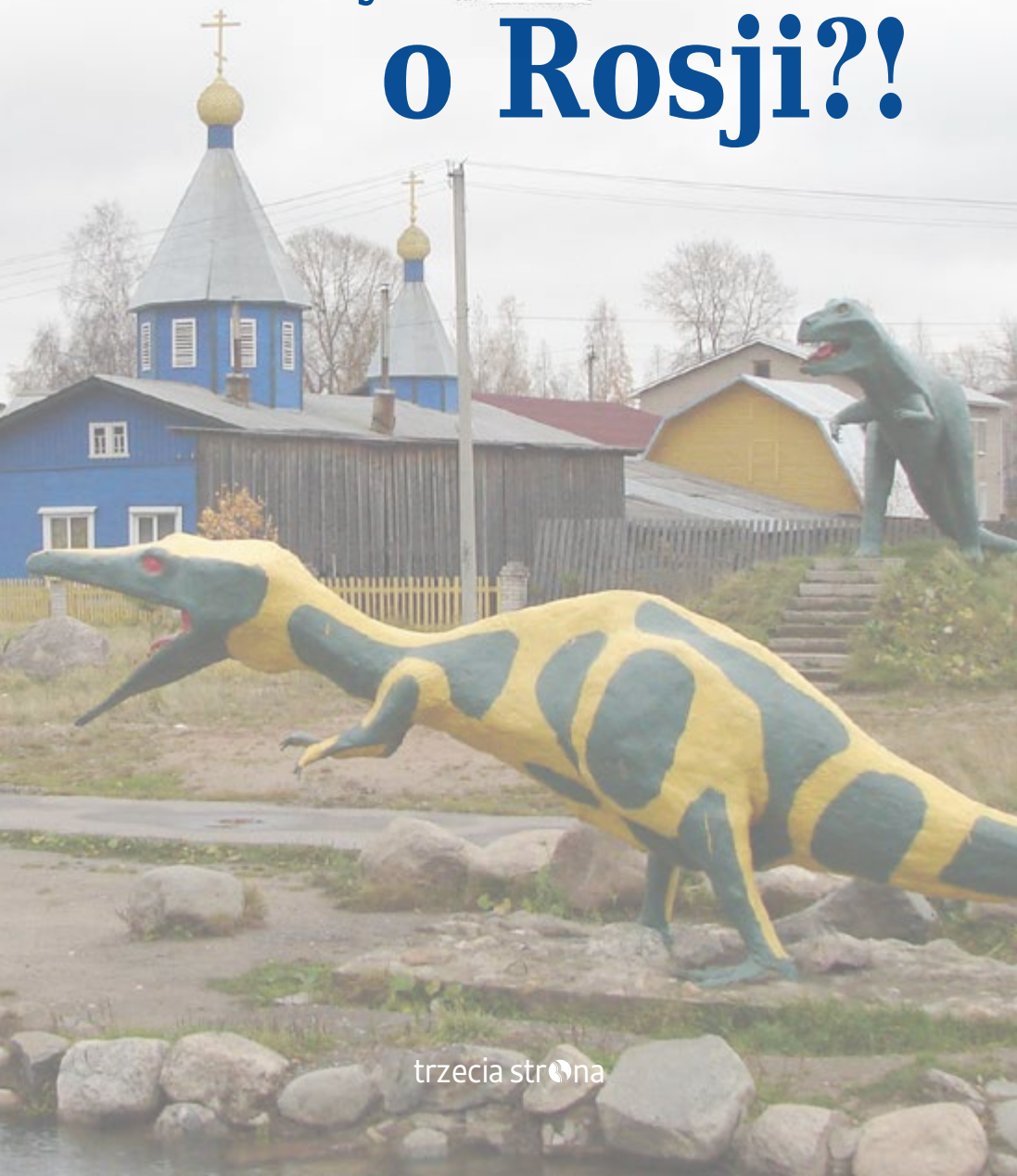
Czy i mnie dotknęła ta choroba? Zapewne. Mam jednak nadzieję, że nie ma ostrego przebiegu. Nie wracam z dżungli Konga czy pustkowi Patagonii, gdzie wiele objawów można ukryć przed dociekliwością Czytelników. Byłem przecież tuż za miedzą.

Jacek Matecki

Co wy, , wiecie
o Rosji?!

Jacek Matecki

Co wy, , wiecie o Rosji?!



trzecia strona

© Copyright by Jacek Matecki, 2015

© Copyright by Trzecia Strona, 2015

Żadna część ani całość niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, ani przetwarzana w sposób elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny i inny, nie może być użyta do innej publikacji oraz przechowywana w jakiegokolwiek bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy.

Trzecia Strona

03–978 Warszawa, ul. Ateńska 6/93

www.trzeciastrona.pl

e-mail: wydawnictwo@trzeciastrona.pl

Autor tekstu i zdjęć: Jacek Matecki

Redakcja i korekta: Beata Jankowiak-Konik

Projekt okładki: Jarosław Talacha

Skład i łamanie: Sylwia Arszennik

ISBN: 978-83-64526-15-2 (pdf)

Wydanie I.

Отсутствующей...

*Mówicie: To niemożliwe! To niemożliwe!
I my mówimy: Oczywiście, że niemożliwe!
A jednak, tak było...*

(–) Zoszczenko [ale pewien nie jestem]

Błądź! Tak właśnie. Błądź! Opowieść o Rosji rozpocznę grubym słowem. Jednego Czytelnika zachęcę, drugiego zniechęcę. Ale tak trzeba. Selekcja jest niezbędna, bo im dalej, tym będzie straszniej i śmieszniej. A przede wszystkim – ciekawiej, w końcu, nie chwając się, poznałem Rosję jak mało kto. Tę od środka. Tę prawdziwą. Lecz jeśli ktoś zada mi pytanie, czy wiem, gdzie leży prawda o Rosji, moja odpowiedź będzie negatywna. Mogę powiedzieć, gdzie tej prawdy nie ma. Przede wszystkim nie ma jej w słowach dziennikarzy nadsyłających *korespondencje* z Moskwy. Ci ludzie rzadko ruszają się ze stolicy. Jednym się nie chce. Drudzy nie mają siły. Trzeci i tak wiedzą lepiej. Czwarci zaś nie mają pieniędzy na wyjazd. Swego czasu poznałem korespondenta prasy polskiej, który przez trzy lata pobytu na placówce opuścił Moskwę dwa razy. Niemniej jednak wiedział wszystko...

Prawdy nie znajdziecie u subtelnych intelektualistów zwanych w mediach ekspertami. Czytałem kiedyś tekst jednego takiego o „micie rechrystianizacji Rosji”. Człek ów powoływał się nawet na Włodzimierza Sołowiowa, bogobojnie żyjącego w latach 1853–1900. To był wielki myśliciel (mówię o Sołowiowie), tyle że od jego śmierci świat się nieco zmienił. Wybuchły wojny, zdarzyły się rewolucje, jednym

pociągnięciem pióra zdecydowano o milionowych rzeziach. Nic wszelako nie przeszkadzało naszemu intelektualście cytować Sołowiowa na dowód swych racji. Wielu – zwłaszcza ci, którzy też chcieliby być intelektualistami – daje się nabrać na te cytaty wspierające subtelną analizę rosyjskiej religijności. Ja mieszkalem w trzech klasztorach. Byłem nawet za klauzurą, gdzie prócz mnichów nikomu wchodzić nie wolno. Żyłem w skicie, który jest pustelniczą delegaturą klasztoru położoną głęboko w lasach. Być może jestem za głupi, by pisać o „rechryścianizacji Rosji”. Napiszę więc tylko o tym, co widziałem.

Gdzie jeszcze nie ma prawdy? Nie ma jej w dziesiątkach książek-reportaży napisanych przez młodych zdolnych z dużych miast, którzy postanowili przejechać Rosję koleją transsyberyjską, rowerem albo zgoła Nissanem 4x4 Off Road Trophy (opcjonalnie Toyotą Land Cruiser, ewentualnie Land Roverem). Po dwóch tygodniach wrócili i napisali książkę o świecie oglądanym zza szyby. Niektóre relacje są całkiem zgrabnie napisane, pełne przygód w stylu: pękła opona i trzeba było ją spawać u miejscowego kowala, a potem do bladego świtu rozmawialiśmy *po duszom*.

Do dupy z takimi przygodami... Pewnego pięknego styczniowego dnia przejechałem autostopem z Wielska do Archangielska. 600 kilometrów jak w mordę strzelił. Jedna dziewczuszka, która mnie wiozła przez 50 kilometrów, zaproponowała mi małżeństwo. Nie skorzystałem. Na stacji benzynowej, na której mnie wysadziła, zatrzymałem trzech młodzieńców poruszających się, wbrew prawom fizyki, legendarnym samochodem marki Żyguli 2107, czyli tak zwaną siedmiorką. Otworzyłem drzwiczki kierowcy, żeby zapytać, dokąd jadą, a ten formalnie wylał się z samochodu na glebę. Wpompowałem go do środka. Widziałem w swoim życiu wielu pijanych, lecz ów zacny człowiek przekroczył wszelkie granice. Był prawie nieprzytomny, a mimo to gracko odjechał, wyrzucając spod kół tumany śniegu.

Zostałem na tej stacji jak głupi. Zmierzchało. Gasły ostatnie promyki bladego styczniowego słońca. Śnieg skrzypiał pod nogami. Mróz

tężał. Było około dwudziestu pięciu stopni, za godzinę zapowiadało się trzydzieści i więcej. Facet ze stacji benzynowej trząsał kratami, łańcuchami i kłódkami. Barykadował na noc biznes i rozwiewał moje nadzieje na dalszą jazdę. Pomyślałem, że jednak trzeba mi było zabrać się z trójką sympatycznych młodych ludzi. I kiedy snułem takie kapi-tulanckie myśli, zatrzymał się kamaz. Po chwili jechałem w cieplej kabinie, wąchając zapach przetrawionego alkoholu wydalany przez kierowcę i jego pomocnika. Rozmawialiśmy o kobietach, nie koncentrując się bynajmniej na ich zaletach. Ale czy jest to dostateczny powód, żeby ogłosić się ekspertem od Rosji? Wszak wady kobiet są znane i dyskutowane na całym świecie.

Żaden ze mnie ekspert! Widziałem to i owo. Ci dwaj z kamaza załatwili mi dalszą jazdę. Jakies 300 kilometrów przed Archangielskiem minął nas wielki amerykański truck. Sporo ich jeździ po drogach Rosji, bo można je zarejestrować bez żadnych kłopotów. Przez CB połączyli się z kierowcą i zapytali, czy weźmie pasażera.

– Kobieta?

– Nie.

– To na chuj mi taki pasażer?

Mimo wyrażonej w ten sposób dezaprobaty wobec mojej osoby kierowca trucka zatrzymał się na najbliższej stacji benzynowej. Spędziliśmy razem pięć godzin, zygzakując po oblodzonej drodze. Opowiedział mi o swoim życiu. O tym, co wozić się opłaca, a czego nie opłaca. Jechał z Petersburga z ładunkiem kiełbas do Archangielska. Z powrotem ładował się belami papieru. Kilkadziesiąt razy w ciągu roku, od kilku lat w tym samym rytmie. W poniedziałek wieczorem załadunek w Pitrze. We wtorek rano wyjazd. Środa wieczór – przyjazd do Archangielska. Czwartek – wyładunek i załadunek. Piątek wieczór – powrót. Sobota – odpoczynek. Niedziela i poniedziałek – praca przy samochodzie. Od poniedziałku ten sam kołowrót. Wcześniej jeździł po całej Rosji, ale mu się znudziło. Im człowiek starszy, tym mniej się chce. Przestrzegł mnie, że najgorsza drogówka stacjonuje we

wspomnianym Wielsku. Dobrze znam tę dziurę. Kiedyś spędziłem w niej pół dnia, czekając na autobus. Wielsk jest jednym z tych rosyjskich miast, w których nie ma nic. Dramatycznie nic.

I wciąż nie wiem nic o tym kraju. Jedyne, co mogę, to zdać relację z kilku lat włóczęgi.

Moja opowieść będzie przeplatana mniej i bardziej budującymi historiami z czasów Związku Sowieckiego, które są zupełnie nie na temat, ale w jakiś sposób przybliżają klimat współczesności. Powiadają, że bez historii nie zrozumie się teraźniejszości. Ale powiadają też, że historia nikogo niczego nie nauczyła...

Książka nie ma morału, nie jest krzepiąca ani dydaktyczna. Ma nawet, o zgrozo, wątek penitencjarny, który może być pomocny osobnikom pragnącym szybko się wzbogacić.

Napisana jest bez specjalnej ciągłości i konsekwencji. Nie jestem systematyczny i nie umiem ciągnąć jednego wątku od początku do końca. Stosuję wtręty, dygresje, odejścia od głównej linii. Jednym słowem na zajęciach z reportażu dostałbym dwóję.

Ale co tam! Jeśli gdzieś zdarza się zmyślenie czy kłamstewko, to wyłącznie po to, żeby było prawdziwiej. Zresztą każdy ma prawo złapać mnie za rękę i powiedzieć: tu łiesz jak pies. Przyrzekam, że wówczas podkulę ogon i przeproszę. Wątpię jednak, czy ktoś coś takiego znajdzie.

Skończę ten przydługi wstęp opisem zdarzenia, które obserwowałem z cerkiewnej dzwonnicy w pewnej wsi nad Morzem Białym (nie podaję jej nazwy, bo nie chcę, żeby ludzie przyjeżdżali i robili tłok). Widok z dzwonnicy nie jest urozmaicony. Jedną połowę krajobrazu wypełnia morze, a drugą – bagnista tajga. Sąsiednia wieś leży w odległości 20 kilometrów. W dole kilkanaście chałup. Stałych mieszkańców można policzyć na palcach. Na lato, jak do każdej rosyjskiej wsi, zjeżdżają sezonowi goście i populacja rośnie do jakichś trzydziestu osób. Sadzą kartofle, łowią ryby, piją wódkę, spacerują. Zbierają siły do walki, która od września czeka ich w mieście.

W dole, na placyku obok cerkwi, kopało piłkę kilku chłopaczków. Któryś strzelił gola i piłka potoczyła się w krzaki. Stanęli i podparli się pod boki. Z góry nie słyszałem, o czym rozmawiają, lecz dobrze wiedziałem, że trwa spór, który ma pobic po piłkę. Ten, który strzelił czy ten, który nie obronił? Tak samo klóciliśmy się na naszym podwórku w starych dobrych czasach, kiedy w podwórkowe spory nie angażowali się Sejm, Senat, ministerstwo i Rzecznik Praw Obywatelskich. U nas generalnie obowiązywało prawo Pascala: kto kopnął, ten zapier... Bywały czasami wyjątki od tego prawa. I właśnie taki przypadek zdarzył się w dole pod mną. Ktoś nie chciał uznać prawa Pascala. Po kilku minutach jałowej dyskusji największy z chłopaków podszedł do najmniejszego i kopnął go w tyłek. Mały dostał przyspieszenia i po chwili piłka była znowu w grze. Poczułem, że jestem u siebie. Poprawność polityczna tu nie dotarła!

WSTĘP O KOŃCACH ŚWIATA

Włóczęga po Rosji ma tę zadziwiającą właściwość, że wędrowiec raz po raz natrafia na koniec świata. Od kilkuset lat gadają, że ziemia jest okrągła i, wychodząc z domu przez furtkę od frontu, po iluś tam latach wróci człek od podwórza. To mocno naciągana teoria. Bywałem w takich miejscach, z których już donikąd pójść nie można. Kraj ziemi. Koniec. Ani kroku dalej.

Z różnych materiałów zrobione są te przepaści. Niektóre są solidne. Bywają brzegiem morza, lasem ciągnącym się pięćset kilometrów w lewo i w prawo, bagnami albo tundrą. Bywają też zrobione z byle czego. Na przykład z zamazanego rozkładu jazdy na zaśmieconym przystanku. Człek nie może się doczytać: będzie autobus czy nie będzie? Tak czy owak dalej już donikąd. Można wrócić tam, skąd się przyszło, ale i to nie jest łatwe.

Rzućmy okiem na mapę Morza Białego. Od południa rozcina je na dwie części półwysep Onega. Niby nie tak bardzo daleko od Archangielska, a jeszcze bliżej do leżącego nad samym morzem Siewierodwińska, zwanego onegdaj Mołotowskiem. Szpiegów z pewnością zainteresuje informacja, że w mieście tym produkują atomowe łodzie podwodne. Zdradzę jeszcze i to, że można wykonać fotkę tej stoczni (za którą słono zapłaci każdy wywiad). Należy wsiąść do samolotu relacji St. Petersburg–Archangielsk i zająć miejsce przy oknie po lewej stronie. Jeśli trafi się na bezchmurną pogodę i sprzyjające wiatry (od nich zależy kierunek podejścia do lądowania), istnieje szansa, że zobaczy się w dole ów zakład produkcyjny. Nazywa się „Gwiazdeczka” i jest pilnie strzeżoną tajemnicą.

Z tego samego miejsca przy oknie na kilka minut przed Siewierodwińskim dostrzec można półwysep Onega. Na pierwszy rzut oka nic tam nie ma. Lasy i bagna, gdzieniegdzie pobliskują jeziora. Latem hałas silników zagłusza bzyczenie stu trylionów komarów. W jednej trzeciej długości półwyspu od wschodu wrzyna się weń zatoka. Nad nią leży wieś Piertomińsk. Jeśli się dobrze przykleić do plastikowego okienka, da się ją wypatrzyć z samolotu. Kilkadziesiąt chałup, z których większość jest niezamieszkała, ale akurat tego nie widać.

Dostać się tutaj można na trzy sposoby. Latem – statkiem lub samolotem z Archangielska. Zimą – samochodem.

PIERTOMIŃSK, CZĘŚĆ PIERWSZA

Wybrałem statek. Sezon nawigacyjny trwa od końca maja do października. Rejsy na półwysep wypadają dwa razy w miesiącu. Stateczek jest niewielki. Coś takiego, jak u nas pływa z Gdańska na Hel. Na dziobie do pokładu przyspawano dwa kontenery, w których poustawiano koje. Pod pokładem kabina z drewnianymi ławkami.

Był to pierwszy rejs w sezonie i zanim wypłynęliśmy, doszło do awantury. Pasażerowie powoływali się na jakieś mętne enuncjacje prasowe, że niby bilety nie podróżują w stosunku do ubiegłego roku, a jeśli nawet podróżują, to jakoby mają być dotowane przez urząd gubernatora. Reprezentujący armatora facet, który stał przy trapie z bloczkiem biletów, nic o tym nie wiedział. Z biura linii żeglugowej sprowadzono postawnego mężczyznę, który wszystkie te „niby” i „jako-by” sprostował. Jego przemowa miała mniej więcej taki sens, jak ta wygłoszona w 1856 roku w Warszawie przez cara Aleksandra II do pełnych nadziei Polaczków: „Point de rêveries, messieurs”, co się z rosyjskiego tłumaczy jako: żadnych marzeń, panowie!

Popłynęliśmy tedy wedle nowych stawek i nikt żadnej refundacji się nie doczekał.

Podróż zaczyna się od nerwowej krzątaniny połączonej z upychaniem rzeczy. Roztasowawszy się, pasażerowie siadają i rozpoczyna się rytuał konsumpcji. Najadłszy się, ludziska rozbiegają się po statku, usiłując znaleźć jakieś ciekawe miejsce, dzięki któremu będzie mniej nudno. Niestety, wszędzie jest tak samo. Z lewej strony wąska linia brzegu, z prawej – puste morze. Kiedy dociera do nas ta smutna prawda, przysiadamy na kojach i na ławkach. Palacze szukają osłoniętych przed wiatrem miejsc na pokładzie.

Rosjanie potrafią podróżować. Ogrom przestrzeni nauczył ich technik radzenia sobie z czasem, bezczynnością i przestrzenią. Najskuteczniejszą metodą jest sen. W podróży Rosja jest somnambuliczna.

Najdoskonalszym rozwiązaniem byłby sen bez końca, lecz taki stan nazywa się śmiercią. Ludzie znaleźli więc inne wyjście. Zastygają bez ruchu i patrzą w jeden punkt. Ktoś w okno, ktoś w ścianę. Z boku taki człowiek wygląda na filozofa roztrząsającego zagadki bytu, lecz myślenie nie jest dobrą strategią na dłuższą metę. Ile można myśleć? O wiele lepsze jest niemyślenie. Da się je uprawiać bez końca. Wie o tym doskonale zdrowa większość ludzkości i dzięki temu świat się jeszcze jakoś kręci.

Silnik mruczy. Wiatr wieje. Morze płaskie. Nuda. Nawet ptaki już nas opuściły. Wstaję i wychodzę na pokład. Tabliczka z zakazem wstępu na mostek kapitański kusi jak cholera. Zdejmuję łańcuch i wspinam się po schodkach do sterówki. Pretekstu do wizyty dostarcza niewinne pytanie, czy w Piertomińsku jest hotel. Pytanie najgłupsze z możliwych, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Rozmowę trzeba rozpocząć umiejętnie i od razu wyjechać ze swoim obcym akcentem. I to nie akcentem z terenów Związku Radzieckiego – takim może się posługiwać byle Uzbek, Buriat, Kałmuk, Tatar, Jakut czy inny Litwin. Tu chodzi o rzetelny zagraniczny akcent! W Rosji znajomość języków jest szczątkowa, więc jeśli osoba zagraniczna potrafi się dogadać, automatycznie trafia do elitarnego klubu posługującego się ludzkim, czyli rosyjskim, językiem.

– Hotel? A skąd mam wiedzieć? – odpowiada stojący za kołem sterowym młody, sympatyczny pomocnik kapitana. – Ja w Piertomińsku nigdy nawet na nabrzeże nie wyszedłem.

Jesteśmy w sterówce sami. Na stole mapa. Po bokach dwa monitory wyświetlające wskazania radarów. Ciepło, przytulnie. Teraz pora na drugi etap zadzierzganania znajomości, czyli na zadawanie bardziej szczegółowych pytań. Ludzie lubią popisywać się wiedzą. Właściwie to najbardziej lubią monologować. Trzeba w odpowiednim czasie zadawać im pytania popychające monolog do przodu.

Pomocnik tłumaczy co do czego służy. To GPS. Tamto – wskazania sondy wyświetlającej ukształtowanie dna. Widać nawet ławice ryb. Statek zasadniczo płynie sam, od czasu do czasu trzeba ruszyć kołem sterowym. Po półgodzinnej rozmowie technicznej zbaczamy niepostrzeżenie w stronę tematów egzystencjalnych. Pomocnik kapitana zdradza, że ukrywa się przed armią. Został mu jeszcze rok symulowania. Potem będzie mógł wyruszyć na ocean w charakterze prawdziwego marynarza.

– Ta łajba to – macha ręką – nie pływanie. Wszystko przez tę niešťczęsną armię – wzdycha.

Pierwszy facet w Rosji, który mi coś takiego mówi. W tym kraju każdy mężczyzna był w wojsku i jest to coś tak naturalnego, jak u nas stan całkiem przeciwny, czyli niebycie w armii. Najhuczniejsze święta – wyjąwszy Dzień Kobiet – związane są ze służbami mundurowymi: Dzień Zwycięstwa, Dzień Obrońcy Ojczyzny, Święto Wojsk Powietrzno-Desantowych, Dzień Marynarki Wojennej. Największy rozmach ma święto desantowców. Prawdziwi mężczyźni prawdziwie potrafią się bawić. Urządzane są pokazy walk. Spadochroniarze tłuką sobie na łbach butelki. Ukoronowaniem zabawy jest ogólna bijatyka. Kiedy nadjeżdża policja, żołdaci w pasiastych koszulkach stają do walki ze stróżami prawa. Tradycją jest, że zawiąni desantowcy całą chmarą udają się na miejski bazar, aby zrobić porządek z przybyszami z Kaukazu.

Niestety od kilku lat policja utrudnia te rozrywki. Zjawia się jednostka OMON-u, obstawia „plac zabaw” i pacyfikuje awanturników. Pałują. Aresztują. Państwo krzepnie i tłumi spontaniczne inicjatywy. Osobiście jestem przeciw nadmiernie okrzepłemu państwu.

Naszą rozmowę przerywa wejście kapitana. Przeciera oczy i coś niewyraźnie burczy pod nosem. Zły. Pewno się nie wyspał, ale jest i drugi powód – obcy na mostku. Pomocnik widzi, że Pierwszemu po Bogu moja obecność się nie podoba i tłumaczy, com ja za jeden. Polak. Kapitana to nie wzrusza. Rozmowa już się nie klei i czuję, że nic tu po mnie.

Na pokładzie wieje jak diabli. Jestem nieszczęśliwy, bo z rozkosznego ciepłka dla elit znów dostałem się między zwykłych pasażerów. Chowam się w osłoniętym od wiatru kącie na rufie.

Nie pozostaje mi nic innego, jak zemścić się na Rosji za takie potraktowanie mnie przez przedstawiciela służb mundurowych. Opowiem więc co nieco o rosyjskich siłach zbrojnych. Nie wiercie temu, co widzicie podczas defilady z okazji 9 maja na placu Czerwonym. To pokazucha. Przejedźcie się tego dnia na prowincję, do jakiegoś miasta garnizonowego. Tam też organizują defilady, na których

nie zobaczycie czołgu, działa ani rakiety. Nie zobaczycie chłopów na schwał maszerujących tak, że Wehrmacht mógłby pozazdrościć. Na prowincji ulicą suną konusy w przydużych mundurach. Nogi podnoszą niemrawo, spoglądają spłoszonym wzrokiem. Więcej zapału do walki mają pseudokibice Lechii Gdańsk, o Legii Warszawa już nie wspominając. Zresztą na każdym rosyjskim dworcu kolejowym możecie zobaczyć oddziały żołnierzy przemieszczających się skądś dokądś pod opieką wyliniałego sierżanta. Też nieszczególnie wyglądają.

A co powiedzieć o oficerach, których codziennie widywałem jadących na służbę do swojej jednostki? To tak się nosi mundur, panowie? Jak drelich roboczy?

Niedaleko miejscowości S. przechodziłem obok bazy wojskowej. Boże Ty mój! Uwierzcie, że byle szrot na zachód od linii Bugu wygląda lepiej.

Na Kremlu oczywiście zdają sobie z tego sprawę i reformują armię. Wyrzucają pijaków, grubasów i kalekich. Stawiają na siły specjalne, czyli – jak tu ich nazywają – specnaz. Specnaz to już jest coś. Na telewizyjnym kanale „Gwiazda” pokazują czasem filmy dokumentalne o tych zabijakach i jeśli jest w nich chociaż 33 procent prawdy, to nie chciałbym wejść im w drogę. Ale ilu jest tych spaczniczów? Dywizja? Dwie?

Przez kilka lat żyłem sobie w błogim przeświadczeniu, że Rosja jest papierowym tygrysem i poradzić sobie z nią może kompania marines plus trzy czołgi Abrams wsparte ciężarówką zaopatrzenia.

Nawet wojna na Ukrainie w niczym nie zmieniła mojego zdania. Dopiero pewnej upojnej nocy na moskiewskim lotnisku Wnukowo... Tkwiałem tam piątą godzinę w oczekiwaniu na samolot i jeszcze trzy były przede mną. Wyszedłem z hali odetchnąć świeżym powietrzem. Usiadłem na ławeczce i jak na zawołanie zjawił się obok palacz, aby dokonać rytualnego zasmrodzenia powietrza. Wcześniej jednak spytał, czy mi czasem ten smród nie przeszkadza. Odburknąłem, że niby nie przeszkadza, ale tak, żeby dać do zrozumienia, że jednak

przeszkadza jak cholera. Facet się tym nie przejął i zapytał, skąd jestem. On sam był Łotyszem. Od słowa do słowa potoczyła się rozmowa. Łotysz był w wielkich kłopotach, ponieważ właśnie była sobota. W ten weekendowy dzień bankomat połknął jego łotewską kartę kredytową. Oczywiście zadzwonił pod podany na obudowie bankomatu numer telefonu, gdzie grzecznie go objaśnili, że pracują w dni powszednie. W poniedziałek przyjedzie serwisant i sprawę załatwi. Tyle że samolot Łotysza odlatywał w niedzielę rano z lotniska Domodiedowo. On zaś miał w kieszeni czterysta rubli i musiał się dostać na to nieszczęsne Domodiedowo na drugim końcu miasta. Pytał, czy środków starczy mu na podróż przez całą Moskwę. Wyliczyłem, że powinno. Zostanie jeszcze na papierosy i jakieś szaleństwo w rodzaju bułki z żółtym serem. Uspokojony jął opowiadać o swoim życiu w dawnym Związku Sowieckim, w Rosji i w niepodległej Estonii. Z tych trzech dotychczasowych lokalizacji zdecydowanie wybierał Estonię. Uważał, że tu, w Rosji, jest smutniej, ale weselej, co ma swoje dobre strony. Na przykład poprzedniego dnia poszedł na pożegnalną kolację ze swoim kolegą, u którego gościł w Wołgogradzie. Zjedli, wypili i przyszło do płacenia. Mój Łotysz, chcąc pozbyć się niepotrzebnych drobnych, kazał kelnerce złożyć dłonie w łódkę i wsypał jej tam wszystkie monety.

– Pół kilo tego było – mówił. – A ona popatrzyła na te drobniaki, na kolegę, na mnie, znów na te monety i jęknęła: „Jeśli macie sumienie, to dajcie papierek!”

Łotysz w ogóle był wesoły i tak to opowiedział, że zaśmiewaliśmy się do łez. Potem jakoś niepostrzeżenie zeszło na rosyjską armię i przestało mi być do śmiechu. Łotysz wyznał, że oni boją się Ruskich i że on mieszka w miejscowości – tu wymienił jakąś karkołomną nazwę – do której rosyjskie tanki mają od granicy dwadzieścia minut jazdy. Był sierpień 2014 roku, moment najgorętszych walk w ukraińskim Donbasie. Zacząłem go uspokajać, że ta armia to pic na wodę, fotomontaż i w ogóle nie ma czego się bać.

Spis treści

- 7 ...
- 11 Wstęp o końcach świata
- 12 Piertomińsk, część pierwsza
- 20 Makaricha
- 29 Kamczatka
- 62 Polityka
- 70 Pustelnia Nila - Ostaszków
- 92 Opowieść o kobiecie znad jeziora i powrót
- 101 Rosyjskie koleje
- 114 Piertomińsk, część druga
- 117 Sowiecka ballada hazardowa
- 124 Wybory
- 136 Uzbeckie divertimento
- 182 Wizyta u państwa Sz. w mieście Sz.
- 188 Piertomińsk, część trzecia
- 202 Przyczynek do spiskowej teorii dziejów,
czyli u źródeł pierestrojki albo skąd wziął się Putin.
- 219 Rzeki bez źródeł
- 234 Ześlanie Brodskiego
- 244 Pietrozawodsk
- 249 Informator penitencyjny
- 261 Granice
- 265 Pobieda
- 272 Płyń, pływ Oka jak Wisła szeroka...
- 295 Baranow
- 304 Piertomińsk, rok później

*Bładź! Tak właśnie. Bładź!
Opowieść o Rosji rozpocznę grubym słowem.
Jednego Czytelnika zachęcę, drugiego
zniechęcę. Ale tak trzeba. Selekcja jest
niezbędna, bo im dalej, tym będzie straszniej
i śmieszniej. A przede wszystkim – ciekawiej,
w końcu, nie chwaląc się, poznałem Rosję
jak mało kto. Tę od środka. Tę prawdziwą.
Lecz jeśli ktoś zada mi pytanie, czy wiem,
gdzie leży prawda o Rosji, moja odpowiedź
będzie negatywna.*

Jacek Matecki